

Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafił do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieteryą, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby - jak nam mówił - nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. - Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą - powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie. Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* - uczyli się na pamięć moi jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejkwowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii - Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znanstwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

*O najdroższa! Pod tej fary wieżą,
przy jabłoni siedem kroków w bok,
w szklach rogowych księża nie dostrzegą
jak ust blisko włosów twoich lok
(„O tej łzie co na końcu spadła”).*

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

Myszę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia - trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się - jako swoiste memento - w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* - mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* - ostrzegał.

Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie zakochania, ale troska o

drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).

Florian Śmieja. Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieja „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieja miała miejsce w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela
chodząc ulicą nie budzę sensacji
na fluktuacje światowego rynku
nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam
nieużywane pokłady czułości
czekam na właściwy telefon, na list
wyglądany od dawna, przyjaciela.
Taki to sporządziłem minibiogram
gdyby gdzieś miano wydać autentyczny
informator *Kto jest kim między ludźmi*.

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie
a każda ma odpowiedź zabrzmiała: po co?
chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź
podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka
dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.
Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk
zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu
lecz nie odmówię ciepłego dotyku
dobrego słowa, ufego spojrzenia
drobiny światła przed idącą nocą.

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy
Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,
bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści
nie przypadnie tęsknota, żal się nie odmieni.
W sobie przecież niesiemy płomień najważniejszy,
którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,
żegnania w południe czy rozłąka północą.

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt
nie zawsze się załamuje
często pogruchotane stoi dalej
odarte z kory, pozbawione korony
trwa na miejscu uparcie
korzenie nie puszczaają ziemi
pień zanim się w proch rozkruszy
by urzyźnić glebę
nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni są stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.



Leszek Wyczółkowski, Golden Moments,
grafika.

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale
próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał
deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne
śledziły go oczy, bo osób
dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,

że można znaleźć człowieka.

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny

komfort dystansu, który izolował

a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów

ani nikczemnych ciosów niżej pasa.

Mógł się zajmować szerszą perspektywą

ogólną panoramą, widokami z góry.

Technologia nam zniosła przestrzeń

i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite
ruszenie od zadymy? Emisariusze
wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk
wieść swoją bibułę. Za późno
coś robić na pochwałę grodu,
sprywatyzowany ma różnych kasztelanów
którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

MARNOŚĆ

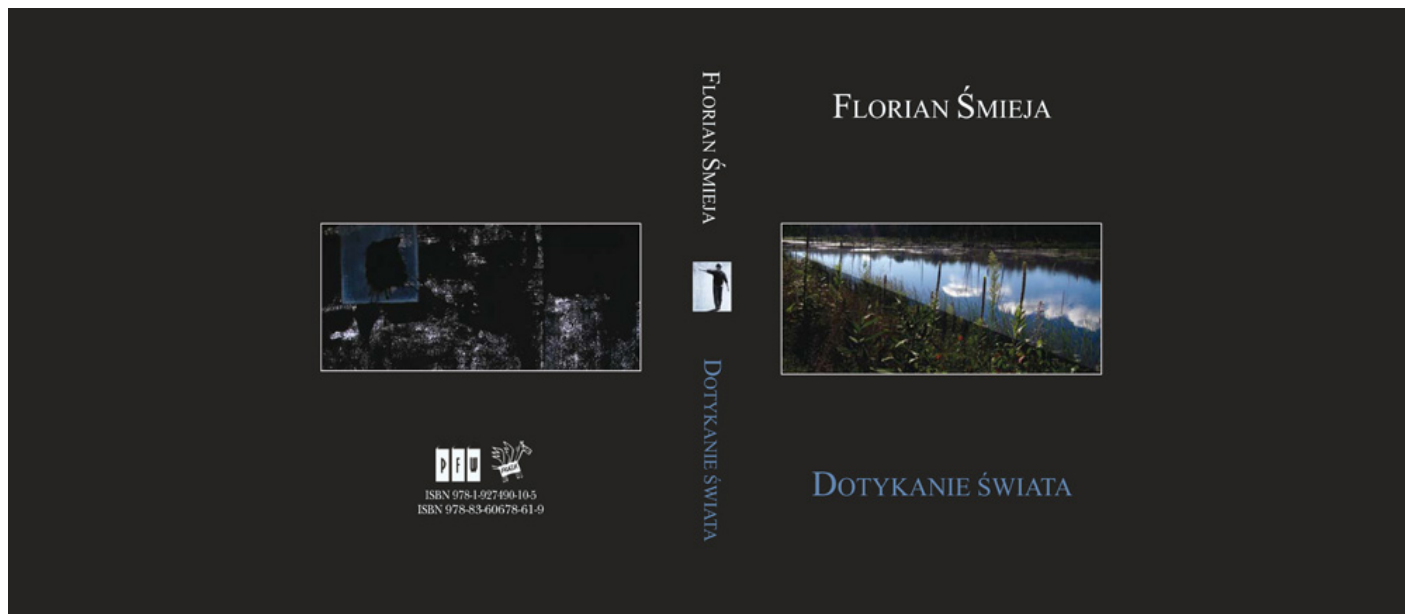
Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,
który wiatr rozwieje, to co są warte
konfabulacje otwartego człowieka
chcącego pojąć zawilności świata
a mężnie zachować się wobec bytu?
Czy na darmo trzodzi się kontemplacją
I w samotności przpędza swój żywot?
Marność nad marnościami ostrzegało
Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.
Pozostawiając nam wszystkim nadzieję
mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu

wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez
mierzenia sił na zamiary. To raczej
zrządzenie losu, co bosego malca
ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł
w labirynty niespodziewane, potem
bezpiecznie przez zawieruchy prowadził
po złudne laury i honory świata,
o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

*Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto-
Rzeszów 2016 r.*



Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św. Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym

sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojacek zmarł tragicznie 11 maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojacek napisze:

...Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce...

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojacek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie osoby: przedstawianego in actu Sobieckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panięńskim matki, Wojacek się

nierz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojaczek, który działał, druga - rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy...” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcją, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim,

powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszcz odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że zebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczę sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także

specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebny manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[...] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego, kamieniami tłukąc szyby w oknach...więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu....

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napęłniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojacek się spowiada:

...Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy - 10 września (1964) - wziąłem żyłkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym... Buduję więc na nowo gmach złudzeń - ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan - świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyłkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy - trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojacek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną

I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu

Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną

Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią

Studentkę filologii albo medycyny

Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą -

Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie'

Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

Rok łagodnego światła

Wzrok zdolny cieszyć się

Słuch cierpliwy i chłonny

Głos jedynego Boga

Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

Śmiech niehisteryczny

Smak subtelny

...

Mróz nieuciążliwy

Piec ciepły

Łyk dobrej wódki

Woń róży

...

Cel wytyczony

śmierć pobożna

Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześniej wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatrącenie tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłyski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się

ratować. W liście do Stefani Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie, splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

*Zjechałem tu nie w porę
sezon jeszcze nie otwarty
a już miejscowi mówią
że tu się nic nie stanie.*

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

*Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
Wież ponad dobrem złem i społeczeństwem
Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?
Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć*

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych”; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego

języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną”. Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością”. Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająco dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sądzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobiletowaniu chuligańskiej hysterii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje ręce:

Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka

krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłąd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statua komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania, ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otrął się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga”, znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

*Młodości próżniaczej
w jarzmo nikt nie chwycił,
przez łatwość wybaczeń
zmarnowałem życie.*

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

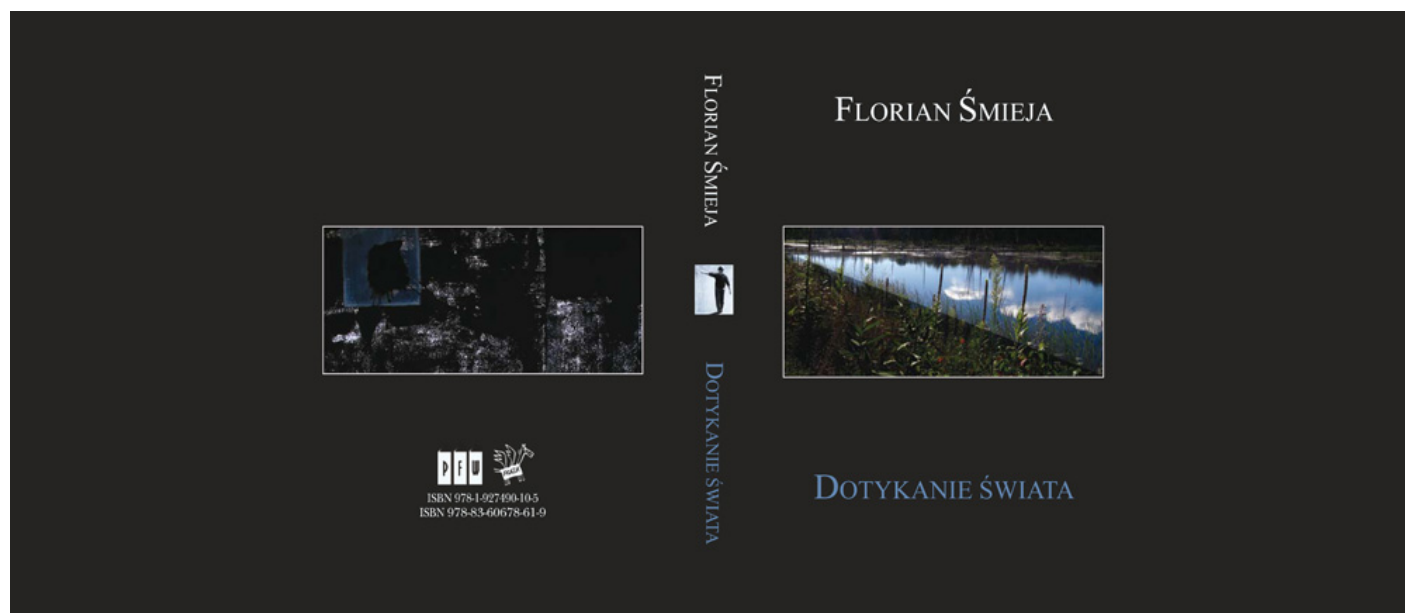
Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie ukazał się tom Pana wierszy „Dotykane świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, poczynając od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakim dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów”, bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dziecińczych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata”. Tamże wzywam:

pielęgnujemy pamięć

skoro nic poza nią nie istnieje.

Bo w chwili próby nie możemy być sami

świat zapamiętany będzie cumą

zbawienną, zapisem wypełnionego...

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były

nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najśluszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozważli. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.* I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykane świata” swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.

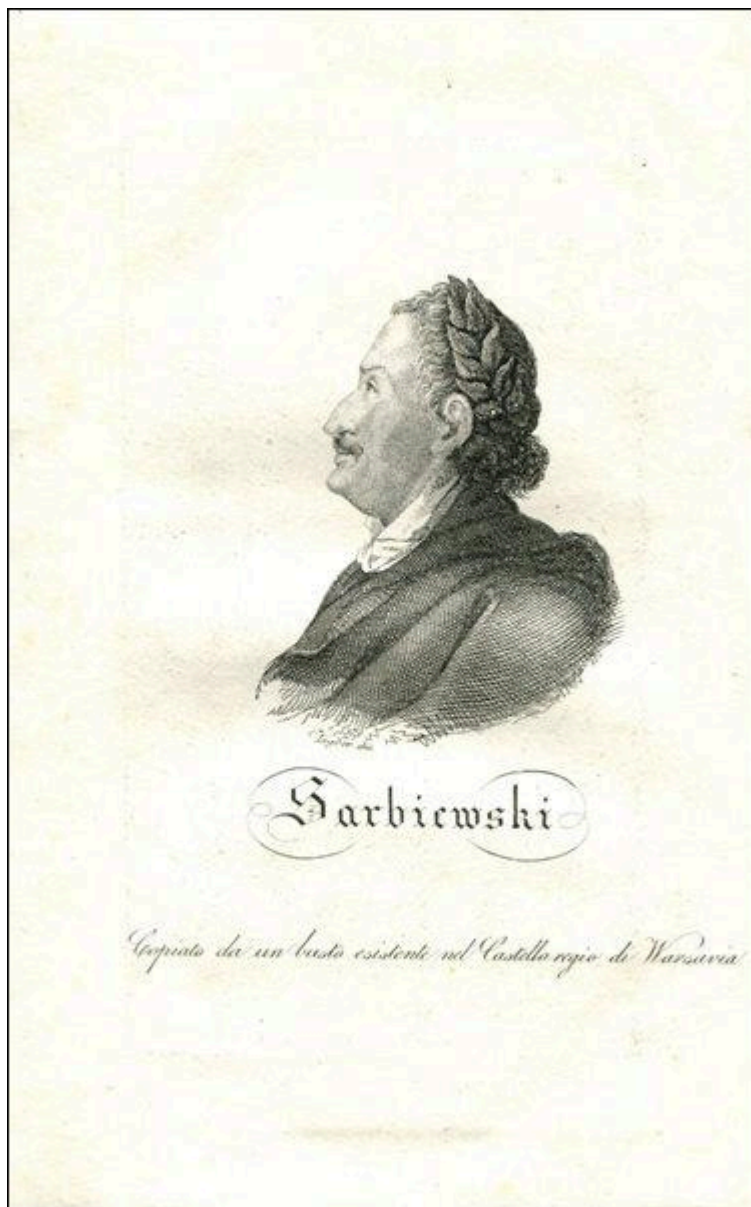


Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu w lipcu 2016 r.

Sarbiewski - pierwszy prawdziwie europejski poeta

Romuald Mieczkowski

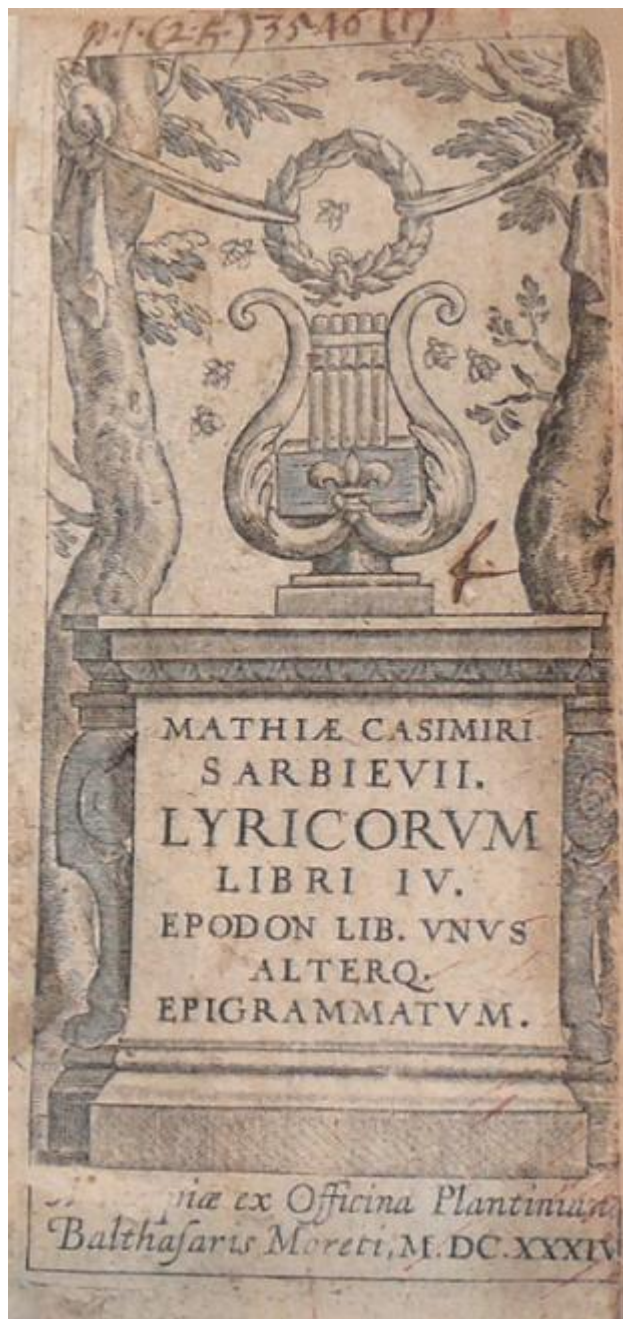
Litwa i Polska są członkami Wspólnoty Europejskiej. Czy jednak dopiero w maju 2004 roku znaleźliśmy się w Europie? Co stanowi naszą największą wartość w dobie historycznego otwarcia się granic i nowych możliwości? - te kwestie wciąż godne są rozważenia.



Dowodem tego, że nie dopiero teraz, lecz znacznie wcześniej nasi ludzie, przedstawiciele nauki i sztuki, byli znani w krajach Europy Zachodniej jest osoba Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, urodzonego w 1595 roku na Mazowszu, w Sarbiewie niedaleko Płońska i zmarłego w 1640 w Warszawie, poety i teoretyka literatury, najpopularniejszego przed Sienkiewiczem autora polskiego. Uczył się w kolegium jezuickim w Pułtusku, w 1612 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego w Wilnie, potem studiował w Collegium SJ Braniewie, wykładał jako magister poetyki i syntaksy (składni) w kolegiach jezuickich w Krożach (Kražiai) na Żmudzi i jako wykładowca retoryki w Połocku, następnie studiował w Akademii Wileńskiej teologię. Dalsze studia - w Rzymie i Collegium Germanum.

Debiutował w roku 1619. Jego twórczość, pisana po łacinie (co wówczas niejako odpowiadało dzisiejszemu statusowi języka angielskiego w międzynarodowym komunikowaniu się) była znana daleko poza granicami Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wiersze jezuita Sarbieviusa czy Casimire o Matce Boskiej Trockiej (*Cztery mile Najświętszej Panny, czyli publiczna uroczysta procesja do kościoła Najświętszej Panny w Trokach*), napisane w Wilnie, wydane zostały w Antwerpii, kiedy ich autor przebywał we Włoszech, w Rzymie. W 1623 roku podbił swą twórczością Wieczne Miasto, dostał złoty medalion i został uwieczniony poetyckim wieńcem laurowym przez papieża Urbana VII, który jako humanista i sam poeta, należał do wielbicieli Sarbiewskiego. W 1625 roku jego pieśni zostały wydane w Kolonii. Sporo utworów poświęcił Wielkiemu Księstwu Litewskiemu i jego ludziom, Wilnu poświęcił odę. Był przywiązany do tej Ziemi, od niego można wywodzić dzisiejsze pojęcie „Małej Ojczyzny”. Do wielu wierszy Sarbiewskiego dorabiano melodie.

Po powrocie, w 1626 roku, podjął pracę w Collegium SJ w Połocku, zaś w 1628 powrócił do Wilna, gdzie prowadził wykłady z zakresu filozofii i teologii, w tymże roku ukazuje się jego *Lyriconum*, zaś po dwóch latach w Antwerpii, z późniejszym wznowieniem. Był świetnie wykształcony, znał prócz łaciny dobrze włoski, francuski, grekę, grał na wielu instrumentach - na klawesynie, cytrze, harfie...



Zyskał sławę i przydomek Horacego Chrześcijaństwa i Horacego Sarmackiego, a to dzięki mistrzowskiemu opanowaniu formy horacjańskiej, głównie w odach i epigramach, dzięki której w poezji przedstawiał swą wizję świata (*Lyricorum libri IV*, 1632, z winiętą zaprojektowaną przez samego Rubensa, miały około sześćdziesiąt wydań w różnych krajach Europy, były przekładane i naśladowane w Niderlandach, Anglii i Francji!). Był najbardziej "barokowym" przedstawicielem naszej literatury na świecie.

W latach 1633-1655 pełnił obowiązki dziekana Wydziału Filozofii i Teologii Akademii Wileńskiej, tutaj otrzymał doktorat. Od 1635 roku - nadworny kaznodzieja Władysława IV.

Sarbievius w swych pracach teoretycznoliterackich sformułował program literatury baroku - z uwzględnieniem piękna przyrody i codziennego bytu z biblijnymi wątkami (*De perfecta poesi - O poezji doskonałej*, w zbiorze *Wykłady z poetyki, Poemata omnia*). Po raz pierwszy jego twórczość szerzej zaistniała po polsku w *Przekładach polsko-łacińskich epoki Zygmuntońskiej* (t. 4-5, 1851). Do poezji Sarbiewskiego

nawiązywał Adam Mickiewicz – takie paralele można znaleźć bardzo często w Panu Tadeuszu, cenił go Władysław Syrokomla, który pisał:

W takiej chwili, kiedy sumiennie mówiąc, nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć w kraju ani jednego prawdziwego poety, zagrzmiął z Rzymu po Europie głos łacińskiej pieśni Polaka i jezuitę Sarbiewskiego.

Zachwycał się nim Józef Ignacy Kraszewski. Ta niezwykle barwna postać jest wciąż mało znana i potrzebuje znaczniejszego upowszechnienia. Tym bardziej w dobie obecnej, gdy mówimy o związkach z kulturą europejską.

(...) poezja Sarbiewskiego dokonuje rzeczy niezwyklej: podkreślając zmysłowość świata, zarazem – wyzwala nas od niej, więcej: wyzwala nas od lęku przed śmiercią. Poeta nie twierdzi, że śmierć nie jest dramatem, on tylko pokazuje, że można go zniwelować, gdy odrzucimy strach, a podniesiemy na drugą stronę swą tęsknotę do piękna i prawdy

– napisał wybitny znawca twórczości Sarbiewskiego, prof. Jakub Zdzisław Lichański we wstępie do *Poezji wybranych* (1986).

W innym miejscu (w *Nauce z poezji Macieja Kazimierza Sarbiewskiego SJ*, 1995) czytamy piękne stwierdzenie tegoż autora:

Poezja Sarbiewskiego, mimo że oddzielają nas od niej dwie bariery: czasu i języka, jest dla nas bardzo ważna. Przede wszystkim przypomina o wartościach, które są fundamentem kultury europejskiej. Tkwią one nie tylko w antyku i chrześcijaństwie, ale i w tradycjach narodowych. Musimy do nich stale sięgać; muszą one być dla nas siłą tworzącą; budującą przyszłość.

Natomiast noblista – Czesław Miłosz w „Historii literatury polskiej do roku 1939” stwierdza:

Sarbiewski doprowadził mającą długą tradycję poezję łacińską w Polsce do perfekcji i aż do dziś żaden poeta polski nie zyskał takiej sławy za granicą, jak Sarbiewski za życia i w okresie paru dziesięcioleci bezpośrednio po śmierci.

**Louis Dudek - poeta montrealški
(1918-2001).**



Louis Dudek

Florian Śmieja

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, którego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wczesnie zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacjonalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał “Pana Tadeusza”, „Trylogię” i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskość cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet Mc Gill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów miał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów

poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem, że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach, ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem. Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby

przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im

nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyła się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebecu Dudek był świadkiem niebywałej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu

intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebec udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum” wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsądzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współdziałaniu sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb życia. Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów. Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagroza nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City” poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe”, „En Mexico”, „Atlantis” i „Continuation”

Jego duży poemat „Europe”, składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta

jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscem ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz. Przejierają znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokregu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, niestrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

Louis Dudek

Europa 31

Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;

amerykański błazen

rysował na dźwierzach

mówiąc "bla, bla" temu

prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.

Najpierw nie było nic, początki

były najtrudniejsze, potem, to co zrobili

było z tego co zaczęli.

Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych

obrobionych kamieni,

od Stonehenge do tego oto.

Wypisali swoje inicjały

obok umarłych. Nowi Anglicy

i Amerykanie błaznią się na złotych dźwierzach.

Wewnątrz same kwiaty

i żłobkowane łodygi,

“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,

ja powiedziałem,

że to z kamienia”, takie splątane

stawy

z białej kości, i strasznej czarnej

średniowiecznej magii.

Ale nie ma nic

Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:

ostatnie rzeźby cmentarne

przy starszej, surowej, normandzko gotyckiej

co nie starała się być piękna.

Tylko wierna.

Wierna czemu? Spójrz na moment
na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa
pokazujący jego ciało
poszarpane cierpieniem i śmiercią,
by ci powiedzieć
- nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg
nie jest szczególnie ważny,
pozostają kości, one są katedrą.
Lecz kilku turystów
nabazgrało nazwiska
na piersi Richarda Foxa
w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.
Niech te dodatki zostaną
w Winchester.
Może czas pokaże
że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta
należą tam mimo wszystko.
Nie miałyby kamienia
na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała im śmierć
swej kościstej piersi.

Dżungla

*Czas ma swe kresy i swoje początki
koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-
przez które idzie tętno
bębnienia w ciszy dżungli,
gdzieś w drzewach krzyk
dzikiego ptaka dartego szponami
gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc
z bólu, może z rozkoszy,
a cisza nie ma końca, słuchając bębnów
dzień po dniu o nowym początku
dzień po dniu udręka, może przyjemność
ale ponad tym niezmaczona biel nieba
czekająca nad światem, aż ustanie ruch
i wchłoną go fałdy jego morza
pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było
to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.*

Epigramy

Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.

*

Dwa niewypały w komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.

*

Seks jest najtańszą formą twórczości.

*

Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią kobiety.

*

Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobiegłyby wielu małżeństwom.

*

Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.

*

Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.

*

Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.

*

Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.

*

Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.

*

Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.

*

Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciółach, życie byłoby nie do zniesienia.

*

Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.

*

Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.

*

Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.

*

Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.

*

Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.

*

Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie inteligentni, albo nie bardzo inteligentni.

*

Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.

*

Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.

Przełożył Florian Śmieja

Wielki zamilczany



Jerzy Narbutt

Jerzy Biernacki

Gdyby zapytać licealistę lub nawet studenta polonistyki piątego roku, kto to jest Jerzy Narbutt, obawiam się, że najczęściej nie otrzymałoby się żadnej odpowiedzi.

Dźwięk samego nazwiska być może wydawałby się naszemu respondentowi znajomy, ale związany raczej z brzękiem szabel powstańczych niż z literaturą. Jerzy Narbutt po dziś dzień bowiem jest jednym z najszczelniej zamilczanych pisarzy współczesnych, mimo że jego dorobek sięga dwudziestu pozycji książkowych, a każda z nich jest w szczególny sposób znacząca. Autor oficjalnego od 2000 roku hymnu Solidarności (...), specjalnie zaproszony na jubileuszowe zebranie jej regionu mazowieckiego, połączone z koncertem, nie tylko nie doczekał się od tej organizacji jakiegokolwiek wyróżnienia czy pamiątkowego medalu, ale również wykonania swego hymnu (z muzyką Stanisława Markowskiego), wbrew zapowiedziom oraz gotowości artystów, którzy nauczyli się pieśni i zamierzali ją zaśpiewać. Organizatorzy do tego nie dopuścili. - A więc bojkot trwa nadal - szepnął do mnie rozgoryczony pisarz.

Tym bardziej więc jest naszym obowiązkiem przypomnieć oryginalną twórczość i niecodzienną biografię tego twórcy, którego każdy kolejny tom prozy, poezji, eseistyki czy artykułów publicystycznych powinien być wielokrotnie analizowany, przybliżany czytelnikom i promowany przez krytykę, gdyż jest to (i przyszli historycy na pewno to potwierdzą) jedna z najważniejszych i największych pod każdym względem postaci literatury i szerzej kultury polskiej, o której czystość i wysoką jakość niestrudzenie się dopomina. Docenił to rozporządzający czułym sejsmografem sfery kultury i cywilizacji Waldemar Łysiak, obdarzając Jerzego Narbutta w jednym z tomów swego „Malarstwa białego człowieka” mianem największego żyjącego myśliciela polskiego.

Prozaik

Sam pisarz największą wagę przywiązywał do swoich utworów prozatorskich, wśród których jest przede wszystkim kilka tomów nowel (pierwszy - „Debiut i inne opowiadania” z 1965 r., potem „W mieście wesele”, „Znowu zakwitnie listopad”, aż po „Benefis” z roku 2004) i jedyna powieść pod niezwykłym tytułem „Ostatnia twarz portretu”, pierwotnie wydana w drugim obiegu w 1981 roku (przy sprzeciwie Wiktora Woroszyńskiego, który oskarżył ją o nadmierny patriotyzm!), a ponownie przez opatrnościową dla pisarza katowicką Unię Jerzego Skwary w roku 2002. Wtedy to impuls, zrodzony jeszcze w okresie walki z komuną, zaindukował Krzysztofa Masłonia, krytyka literackiego „Rzeczpospolitej”, do napisania bardzo

pięknej rekomendacji powieści, do przypomnienia jej niezwykłych walorów (na łamach dodatku „Plus Minus”), co na chwilę przełamało betonową ławę bojkotu pisarza, po czym...wszystko wróciło do normy.

A tymczasem mamy tu do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym. Już ponad dwadzieścia lat temu za takie uznano nowele pisarza, pomieszczone we wspomnianych tomach, takie jak „Bal u senatora”, „Druga twarz portretu” czy „Benefis”. Pisarz, poprzez swoje osobiste życie integralnie związany z Warszawą, sięgał w nich do miejsc związanych z biografią jego bezpośrednich przodków i po mieczu i po kądzieli, tj. do Kresów, ewokując nastroje, zdarzenia, psychospołeczną atmosferę panującą na tamtych ziemiach w różnych kluczowych momentach polskiej historii. Przy tym momenty te jak gdyby wyłaniają się z historycznej mgławicy, w widzeniu narratora, którym jest dziecko lub niedorośli chłopiec i są efektem rzutowania autora w przeszłość sięgającą daleko przed jego datę urodzenia (na ogół pisze w pierwszej osobie). A jednocześnie to dziecko czy ów chłopiec, niekiedy młodzieniec jest uwikłany w jakiś rodzinny i osobisty dramat, związany albo ze śmiercią rodziców (za którą czuje się jakoś winny?), albo z nieobecnością ojca – łatwo domyślamy się, że zesłanego na Sybir – do którego przeraźliwie tęskni, czy z dziwnym postępowaniem matki. Zdarzenia wyłaniają się i przebiegają jak we śnie. Tak samo jawią się niektóre postacie, pośród których ważna jest babka, ostoja trzeźwego spojrzenia i roztropności, brat (w przeciwieństwie do narratora, zdrowy i zdolny do walki, choć w jednym utworze doprowadzony do osłabienia i śmierci wydaje się tragiczny, dopóki nie okazuje się, że to był tylko sen!), stary Hrycio, wierny sługa rodziny (jeszcze ojca narratora wykołysał w swych silnych ramionach) i wreszcie młody Ukrainiec, Kola, nieco starszy, jak to się dawniej mówiło, prawie „rówiennik” bohatera, którego w chorobie ogrzewa własnym ciałem, ale kiedy indziej potrafi zdradzić, miotany sprzecznymi emocjami to etnicznego, to znów politycznego autoramentu. Miejscem akcji jest najczęściej dwór ziemiański, jego strych pełen zapomnianych pamiątek przeszłości, wieś wokół dworu, z kościołem i plebanią, pejzaż kresowy z jego intensywnymi barwami. Bywa i wspomnienie zesłania, a kulminacją w kilku przypadkach jest przybycie do dworu po raz pierwszy od stu lat polskiego (legionowego) wojska, przeżywane jak olśniewająca iluminacja.

Jest to proza na wskroś nowoczesna, można zresztą wymienić kilka utworów, by tak rzec, czysto groteskowych (jak „Deszcz” czy „Przypowieść”), odbiegających

całkowicie od opisanych wyżej klimatów, ale ów generalnie nietradycyjny sposób konstruowania opowieści nie służy jakiemś rozbijaniu rzeczywistości, a zwłaszcza podważaniu tradycyjnych zasad ludzkiego zachowania się (jak to bywa w prozie Gombrowicza), lecz uintensyfikacja niejako obraz tej rzeczywistości, czyni go w jakimś sensie ważniejszym, bardziej widocznym, bardziej dotykającym. Jest to bowiem proza, której źródła są związane z jakąś tajemnicą czy tajemnicami, ale my ich nigdy nie poznamy, skazani na domysł, na własną wyobraźnię, co prawda mocno przez autora rozwibrowaną; proza pełna niedopowiedzeń, pojawień i zniknięć niewyjaśnionych, wieloznaczności wnętrza głównej postaci. Jednoznaczny jest tylko duch tych opowieści, całkowicie i niewątpliwie polski, całkowicie i niewątpliwie niepodległy, wolny tą polską wolnością, o której marzyli wieszczowie romantyczni, a która właśnie w tych opowiadaniach (niekiedy) się ziszcza.

Jeśli miałbym szukać jakichś, choćby odległych, paralel dla nowelistyki Narbutta, to mógłbym odwołać się, ale tylko w niektórych przypadkach, do nowelistycznej prozy Cypriana Kamila Norwida: u obu autorów odnajdujemy przenikanie się dwóch planów: przyrodzonego i nadprzyrodzonego, „fizyki” i metafizyki, a poza tym w podobny sposób traktowana jest problematyka postaw moralnych. Proza Narbutta wyróżnia się przy tym jeszcze swoistą gęstością poetyckich sformułowań, muzycznością czy rytmicznością zdań (niekiedy brzmiących jak w wierszu, a nie w prozie), niezwykłą trafnością rozmaitych trzeźwych sądów i myśli, zwłaszcza gdy padają w otocze wspomnianej oniryczności. Konkret wywiedziony jak gdyby ze snu, dotykliwość przedstawionych scen, które w strzępach pozostają w pamięci, a także postaci, również tych marginalnych, jak owa ciotka Emilia ulegająca chwilowej pokusie erotycznego przeżycia z młodziutkim bohaterem (i jego dwubiegunowa reakcja na to: wysoka temperatura podniecenia połączona z obrzydzeniem), składają się na ten osobliwy konglomerat, z którego z łatwością wyłuskujemy skład zasad drogich autorowi, w którym piękno, dobroć, prawda, wiara, nadzieja i miłość są najważniejsze.

Podobne cechy odnajdujemy w mniej licznych opowiadaniach (i mini-esejach) o tematyce włoskiej, tak bliskiej autorowi „Tęsknoty za Wenecją”, wzdychającego jakże często za „felice Italia”. Mniej w nich wprowadzicie tajemnic, za to nie mniej subtelnych nastrojów, sublimacji uczuciowych, więcej zdarzeń związanych z „wiekiem męskim, wiekiem klęski” (bo tu już narrator czy sam autor nie jest dzieckiem, lecz dojrzałym

mężczyzną), a przy tym zachwyca jakieś niemożliwe zdawałoby się pogodzenie sprzeczności: trzeźwości spojrzenia na te miejsca ukochane przecież jakże gorącym uczuciem. Jak w tym fragmencie podsumowującym odczucie Wenecji: *I właśnie te dwa doznania stanowią o niepowtarzalności przeżycia, jakie daje Wenecja. Urok morza z urokiem nierealnego theatrum. Kamienna wizja pośród wodnego żywiołu. Gdzie takie drugie miasto na świecie?*

A że niektóre kanały na zapleczu cuchną? Nie spotkałem jeszcze pachnących kulis. („Wenecja”, w rozdziale „Wspomnienia włoskie”, w tomie „Wyrzucony na brzeg życia”, Katowice 2005).

Metodą „nowelową” napisana jest również jedyna powieść Narbutta „Ostatnia twarz portretu”, to znaczy przy zachowaniu wszystkich czy prawie wszystkich cech jego prozy opowiadaniowej, ale ciągłość narracji, ewolucja postaci, szczególnie jednego z dwóch głównych bohaterów, zawłości i nieoczekiwane zwroty losów innych osób (zwłaszcza kobiet, niekiedy bezimiennych), wreszcie poważne wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu (i zarazem ginącemu) światu, „tak strasznie sfalszowanemu” (ks. prof. Janusz Pasierb) – wszystko to nadaje jej wyrazistą cechę epickości. Odnajdujemy w niej te same nastroje, uczucia i pragnienia indywidualne, co w nowelach, dotyczące poszczególnych postaci, w związku z rozwojem ich charakterów i zdarzeń w ich życiu. Tu również, jak tam, nie wiemy czasem, skąd i dlaczego pojawia się ta lub inna postać i domyślamy się jedynie, dlaczego to właśnie, a nie co innego z nią się dzieje, przy czym cały czas mamy do czynienia z rosnącym napięciem dramatycznym, czy też raczej zwiększającym się stopniem narastającego tragizmu (nie mylić z tzw. suspensem, bo nie o to chodzi). Dodajmy, że rzecz dzieje się (w ten sposób) w czasie podwójnej okupacji po 1939 roku, w Warszawie, w miastach kresowych, w Krakowie, a także na prowincji (w leśniczówce i gdzie indziej), a chodzi w głównym nurcie o „portret” pokolenia Polski walczącej. Próżno by jednak szukać jakichś scen zbiorowych, jakichś walk, to jest zdecydowanie portret wewnętrzny, zindywidualizowany, oparty na kilku postaciach i relacjach między nimi, obraz postawy i losu polskiego, jego psychologii i wyrazu społecznego, co sprawia, że rzecz jest zarazem lokalna i uniwersalna.

Pisarz w naturalny sposób wtapia w tę powieść scenę rozgrywającą się między Mościckim, Śmigłym i Beckiem, na moment przed przekroczeniem granicy Polski we

wrześniu 1939 roku, dążąc do sprawiedliwego werdyktu i dostrzegając zarazem jedyny w swoim rodzaju dramat tych postaci. Charakterystyczne, że ocena Śmigłego wypada mniej surowo niż ocena Becka, przy czym nie chodzi naturalnie o jego słynne przemówienie sejmowe, lecz o zachowanie podczas kampanii wrześniowej. Książkę wieńczy tragiczna scena palenia munduru, w symboliczny sposób ukazująca dyferencję postaw, a zarazem jak gdyby przekazująca treść ostatniego rozkazu gen. Leopolda Okulickiego rozwiązującego Armię Krajową, mimo że w książce nie ma o tym mowy.

Tuż po wznowieniu powieści w 2002 roku napisałem, że jest to arcydzieło polskiej prozy współczesnej; po ponownej lekturze potwierdzam to w całej rozciągłości, jakkolwiek nie umiem (jak widzę) tego udowodnić. Ale czy można w ogóle dowieść, że jakiś utwór jest arcydziełem? To się po prostu wie.

W powieści jest także interesujący wątek żydowski, krawca Cyngielbluma; jego wzruszająca troska o chudnącego stale bohatera więcej mówi o stosunkach między obu narodami przed wojną, niż wszystkie oskarżenia o pogromy (to raczej specjalność rosyjska) i antysemityzm. Stach jest bezradny, jeśli chodzi o ratowanie Cyngielbluma i jego rodziny z getta, gdzie go znajduje i gdzie dowiaduje się, jaki krawcowi przyśnił się sen: oto – opowiada – jestem przed wojną na Krochmalnej i widzę napis: Precz z Żydami! – Czy ty możesz to zrozumieć?! – zwraca się do żony. – Tylko napis!

Poeta

Dysponujemy jedynie niespełna osiemdziesięciostronicowym tomikiem, zatytułowanym charakterystycznie „Trochę wierszy” (wyd. w 1997 roku). Wierszy, które autor zaczął pisać dopiero po pięćdziesiątce, zadziwiając nie tylko ś.p. ks. prof. Janusza Pasierba, który napisał w jednym z listów do autora, że dziwi się, iż chce mu się pisać wiersze, gdy ma tak świetną prozę (miał na myśli właśnie „Ostatnią twarz portretu”). Jak większość wydań Narbutta, wiersze te przeszły również bez echa, co wystawia jedynie złe świadectwo zwiędłej w Polsce po 1989 roku krytyce literackiej. Są one bowiem znacznie mniej skromne w swej poetyckiej skali i wartości niż tytuł tomiku. Ich specyfiką jest – *sit venia verbo* – rozumność, powściągliwość, ukrywanie ważnych czy nawet wielkich znaczeń pod przykrywką zdawałoby się zwykłych i

skromnych słów, jest tutaj ton osobisty i ton obywatelski. Są świadome nawiązania do Norwida (*Byłem u Ciebie w te dni bardzo czarne* - „Pużak”) i może mniej świadome przetworzenia poetyki Norwidowskiej. Są wiersze krótkie, zwarte, jak jedno rozświetlenie mroku, i są poematy, jak np. „Michał Anioł siedem razy” czy „W dawnym stylu”. Jest to poezja, której się nie czyta, lecz z którą się obcuje, wracając wielokrotnie do poszczególnych wierszy, by odkrywać na nowo ich treść i własną Narbuttową formę, bez której ta treść nie byłaby tym, czym jest. I jest w nich cały ten nietradycyjny tradycjonalista, jak w wierszu „Pomnik Powstania Warszawskiego”, nawiązującym, oczywiście, do Borowskiego, ale w całkowitym sprzeciwie wobec jego przeświadczeń:

Zostanie po nas miasto gruzów

i barykada z naszych ciał,

zostanie po nas kpina głupców,

płacz matek i litanie skarg

i pozostanie niepodległa

miłość wolności - i ta jedna

urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,

co zerwie naród, aby wstał

i by zrozumiał jaki cenny

był nasz rozumny szal.

Miłośnicy czystej, osobistej liryki też nie powinni być zawiedzeni, choć przeważa, jak to u Narbutta, poezja odpowiedzialnej walki o imponderabilia, w stylu *Patrz na usta relatywistom, ich język, to wieża Babel (...)* Odpowiednie daje rzeczy słowo.

Kiedy jesteśmy przy poezji, trzeba też wspomnieć o „Czarnym królu”, wierszowanej dwuaktówce zamieszczonej w tomie „Benefis”, napisanej językiem z epoki Jana

Chryzostoma Paska, w której wszakże chodzi o sprawy ważne również dzisiaj, m.in. o kwestie władzy i zróżnicowanego do niej stosunku Polaków, z czego wynikało w historii i może nadal wynika sporo nieszczęść. Niestety, rzecz sceniczna, barwna, kostiumowa idealnie nadająca się do Teatru Telewizji, nie znalazła uznania w oczach jego kierownictwa, zezującego na reklamodawców. To oni dziś określają jakość telewizji, zwanej publiczną chyba tylko z przyzwyczajenia.

Eseista i publicysta

Napisałem: wielki zamilczany. A nie napisałem: dlaczego. Wyjaśnienie tego zjawiska jest niemalże takie samo, jak w przypadku książek publicystycznych Waldemara Łysiaka, które są czytane powszechnie, lecz ignorowane przez kręgi opiniotwórcze w polskojęzycznych (a niekoniecznie polskich) mediach. I wyjaśnienie to można znaleźć w licznych książkach Jerzego Narbutta zawierających eseje literackie i artykuły publicystyczne, przedtem drukowane w czasopiśmie. Z tym, że o ile książki Łysiaka, o których mowa, są najczęściej ostrymi pamfletami (zawierającymi zresztą wiele prawd niepoprawnych politycznie), co zapewnia im poczytność mimo braku promocji, to eseje i publicystyka Narbutta jest wchodzeniem w poważny spór nie tylko z ideowymi przeciwnikami, lecz czasem z reprezentantami tego samego światopoglądu, w których postawie jednak czy w pracach autor dostrzega niebezpieczne zaniechania, zamazania, dysproporcje itp. Dla siebie - Narbutta jako myśliciela, ucznia znakomitego „Tatara” (prof. Władysława Tatarkiewicza, którego sam sobie wybrał na mistrza), eseistę i publicystę (z konieczności łączę te dwie formy, choć należałoby je omawiać osobno) - nazywam „strażnikiem ładu moralnego”. A można by do tego dodać także ład estetyczny, ład psychologiczny, społeczny i kilka innych postaci ładu, z których pewni ludzie (szczególnie lewica i liberałowie, a także kosmopolici) niekiedy rezygnują, na rzecz bałaganu (np. myślowego, w którym buszują schematy i stereotypy), różnego rodzaju zaniedbań, dysproporcji, braku rozróżnień itp. Autor jasnymi słowami zwalcza wszelką sub- i kontrkulturę, na rzecz kultury *tout court*, wszelkie sitwy i koterie, jako narośla rakowate na ciele danej społeczności, irenizm i dynamiczny fanatyzm (raczej lewicowy niż prawicowy, choć endecji nie znosi, a kocha i ceni Piłsudskiego), występuje przeciw wszelkiej sztucznej poprawności na rzecz prawdy i prawdziwości,

jest jednoznacznym niepodległościowcem i uważa jak Jan Paweł II, że wolność jest zadaniem.

W pewnym momencie zarzucił pisanie prozy literackiej na rzecz prozy dyskursywnej, walczącej o to, co nazywa się właściwym porządkiem rzeczy. To znaczy takim, w którym jest miejsce na tradycję, na to, co w niej najcenniejsze, gdzie króluje prawda i miłość, a nie interes i hucpa. Sztuka przetrwa („pieśń ujdzie cało”) – rozumował, a różne ważne imponderabilia wymagają obrony, gdyż od pewnego czasu najlepiej na świecie mają się wieczni rewolucjoniści, którzy uważają, że wszystko polega na zmianie, podczas gdy warunkiem trwania człowieka jest właśnie niezmiennosc ładu świata. Oni są niebezpieczni, a jeszcze bardziej niebezpieczni są ci, którzy mimowiednie ich wspierają lub im się nie sprzeciwiają. Naturalnie, nie znaczy to, że każda zmiana jest zła. Ale nie może naruszać podstaw.

Styl tej logomachii jest niesłychanie czysty, krystaliczny, rozróżnienia, zachowywanie proporcji, precyzja określeń – wzorcowe, jak gdyby autor pokazywał w swojej stylistyce to właśnie, o co mu chodzi, żeby było u innych. Można się w jakimś szczególe z nim nie zgadzać, ale tej czystości i precyzji dowodzenia i perswadowania odmówić mu niepodobna.

Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że taki pisarz, który nie tylko „atakuje” krytycznym słowem komunę, ludzi pokroju Kuronia czy Michnika, ale także Pascala za sprzyjanie jansenizmowi, czy ś.p. ks. Bronisława Bozowskiego za to m.in., że jak mawiał miał 1500 przyjaciół (!), w ujęciu miłośników poprawności politycznej, jest niebezpiecznym przeciwnikiem, którego najlepiej zamilczeć. I tak się stało.

Tym bardziej, że Narbutt ma jeszcze jedną wadę: czysty życiorys, nigdy nie dał się uwieść PRL-owskiemu „powabom”, od 1945 roku świadomie uczestnicząc we „froncie odmowy” (który sam sobie wymyślił, bo niestety frontu jako takiego nie było, tylko pojedyncze przyczółki: Herbert, Narbutt, Jerzy Braun, Grzędziński i może dwóch-trzech jeszcze). A tego dzisiaj w Polsce i na świecie się nie wybacza. Dlatego debiutował dopiero sporo po trzydziestce, nie skalał się też pisaniem do prasy PAX-owskiej. Pisał:

Mam tylko gołe ciało moje i to życie w prawdzie

*co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,
z którego się natrzęsają, szturchając się łokciami
i zwą mnie ironicznie: „Nasz księżę niezłomny...”*

Rzecz jasna, taka postawa ma swoją cenę, w przypadku Narbutta jest to, jak sam napisał, wyrzucenie na brzeg życia, a ponadto skrajne ubóstwo, życie przez wiele lat w nie ogrzewanej norze i zwyczajny, wstrętny, niepokonany głód. I kompletna niemal cisza nad jego książkami. Ale Księciem Niezłomnym jest bez ironii i autoironii, Księciem słowa, mówiącego prawdę z miłością (lub przynajmniej z wyrozumiałością, której nie ma tylko dla występnych), słowa, które jest jak czyn. To najwyższa miara.

Ramka

Jerzy Narbutt urodził się w Warszawie 12 października 1925 roku. Wywodzi się z rodziny ziemiańskiej z Kresów północno wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Jego dziad Ferdynand był uczestnikiem Powstania Styczniowego, a ojciec Antoni reaktywował na krótko i był redaktorem naczelnym Lelewelowskiego jeszcze „Tygodnika Wileńskiego” (przed wybuchem I Wojny Światowej). W rodzinie matki, Stanisławy z książąt Glińskich, było kilku literatów i publicystów. Rodzinne gniazdo Narbutta to Szyrwinty, majątek ziemski po stronie Litwy Kowieńskiej. Świadczenia rodzinne z Kresów i jeden wakacyjny pobyt w okolicach Kostopolu zadecydowały o kresowej tematyce wielu jego utworów literackich. Większość życia spędził w Warszawie, gdzie przeżył i Wrzesień 1939 roku i Powstanie Warszawskie. Zaprzyjaźniony z młodymi uczestnikami konspiracji (m. in. z Tadeuszem Zawadzkim – „Zośką”), sam nie mógł uczestniczyć w walce z powodu słabego zdrowia (nazywa siebie „zdechlakiem”).

Przypisywane mu niekiedy w biogramach uczestnictwo w Szarych Szeregach i w walkach powstańczych nie jest więc prawdą, co sam wielokroć prostował. Po 1945 roku przez sześć lat ukrywał się, zagrożony poborem do ludowego wojska (orzeczono, że jest zdolny do służby, mimo chorób trapiących go od dzieciństwa). Wreszcie aresztowany i osadzony w więzieniu, wychodzi dzięki amnestii. Debiutuje

dopiero w 1957 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, którego kierownictwo i większość zespołu nie akceptuje go z powodu poglądów, patriotyzmu i ewangelicznego radykalizmu (m.in. stale musiał występować w obronie krytykowanego przez nich Prymasa Tysiąclecia). Współpraca, w związku z tym nader kulawa, trwa kilkanaście lat. Studiuje (najpierw po wojnie, potem po 1956 roku) jako wolny słuchacz u prof. Władysława Tatarkiewicza, jest najlepszym recenzentem jego fundamentalnej książki „O szczęściu”, Profesor wyróżnia go przyjaźnią, aż do swej śmierci. Prześladowany za działalność opozycyjną, w grudniu 1975 r. objęty zostaje zakazem druku, powodem bezpośrednim stało się podpisanie przezeń „listu 59-ciu”, przeciwko zmianom w Konstytucji. Publikuje w pismach drugiego obiegu takich jak „Zapis”, a poza tym w „Spotkaniach”, „Opinii” i „Rzeczpospolitej”. Członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania Zbigniewa i Zofii Romaszewskich przy NSZZ Solidarność. Autor tekstu hymnu Solidarności. W latach stanu wojennego ponownie ukrywa się, tym razem przed internowaniem, m.in. w klasztorach w Serpelicach i Lubartowie. Członek dawnego ZLP, a obecnie SPP i P.E.N. Clubu. Od 1988 r. publikuje felietony i eseje w „Ładzie” (aż do jego upadku w 1994 r.), w „Naszej Polsce” (do 1999) i w „Tygodniku Solidarność”. Jest laureatem nagrody im. Leszka Proroka, nagrody m.st. Warszawy, posiadaczem lauru poetyckiego „Białego Pióra” w Płocku, nagrody specjalnej ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Zamrł w 2011 roku w Warszawie.

Książki (poza już wymienionymi w tekście): „Uciec z wieży Babel” (Arcana, Kraków 1999), „Awantury polemiczne” (2000), „Od Kraszewskiego do Parnickiego” (2000) „Spory o słowa, spory o rzeczy (2001)”, „Dwa bunty” (2003) i „Wyrzucony na brzeg życia” (2005). Wszystkie pięć wydane przez „Unię” w Katowicach, ostatnia z inicjatywy prof. dr. Ryszarda Szawłowskiego. Przedtem wydał ponadto: „List nie wysłany pocztą” (1975), „Sól ziemi” (1980), „Nasz jest ten dzień” (1981), „Druga twarz portretu” (1982), „Z ziemi polskiej, z ziemi włoskiej” (1983), „Szkice historyczne” (1984).